

Bogdan Dohnke

Wielka szansa Słupcy

Obserwuję zagranicznego turystę, który przekroczył właśnie granicę w Kostrzynie. Nie wiem czy jedzie tylko do Warszawy, czy też plany turystyczne gnają go jeszcze dalej. Wystarczy jednak popatrzeć na przybysza, by zorientować się, że nie należy do tych, którzy zamawiają telexem noclegi w stołecznym Grand Hotelu. Jest z grupy tzw. średniaków, najbardziej masowych turystów, tych, co to jeszcze ciągle odkrywają uroki Europy Wschodniej.

Oczom własnym nie wierzę. W rękach naszego gościa, już kilkadziesiąt metrów za granicą znalazł się piękny barwny folder, oferujący pole namiotowe lub nocleg w domkach campingowych, w malowniczo położonym lasku nad jeziorem w Słupcy. Na siedemdziesiątym pierwszym kilometrze za Poznaniem, samochód skręca gwałtownie w lewo i po chwili jest u celu.

To była niestety fantazja. A szkoda. Wielka szkoda.

Stracili kupiecki zmysł

Kiedy granica zaborów przebiegała przez Strzałkowo, obecna stolica powiatu słupckiego przeżywała swój największy rozkwit. Szmugiel na wielką skalę był najlepszą okazją do zarobków. Potem przyszły lata chude. Do niedawna jeszcze mówiło się, że Słupca jest miastem emerytów. Młodzież uciekała gdzie się dało, gdyż nie było tu dla niej żadnych perspektyw. Decyzja o ustanowieniu w Słupcy siedziby powiatu obudziła to drzemające miasteczko. Skończyło się jednak na kilku urzędniczych posadkach. Do dnia dzisiejszego nie ma tu ani jednego porządnego zakładu przemysłowego. Powiat słupski jest typowo rolniczy należy chyba do najbiedniejszych w województwie.

Stosunkowo duży procent ludności rolniczej poważnie rzutuje również na styl życia mieszkańców. Przybysz odnosi wrażenie, że jedną z największych atrakcji tego miasta stanowi samochody pedałące z zachodu na wschód i odwrotnie. Całymi godzinami potrafią ludzie stać przy głównym szlaku prowadzącym przez miasto i przypatrywać się przejeżdżającym wozom. Poza tym nie mają chyba żadnych innych zainteresowań. Bo przecież w tym samym czasie nad jeziorem oddalonym od Rynku zaledwie 1,5 km, obok przystani LPŻ, kilkuset plażowiczów zażywa kąpiele i słońca, a mieszkańcy Słupcy muszsz szukać wśród nich ze świeczką. Ludziska przyjeżdżają tu aż z Wrześni, zażdroszcząc Słupcy takiego pięknego obiektu. Nie potrafią go jednak docenić miejscowi. Zresztą po bliższym poznaniu ośrodka wodnego dochodzi się do przekonania, że z tego skarbu nie zdają sobie również sprawy tutejsze władze. Doskonale rozwinięty zmysł kupiecki Słupczan gdzieś się zawieruszył, a jego miejsce zajęła obojętność.

Warto nastawić sidła

Na głównym szlaku tranzytowym w Polsce uczęszczanym przez turystów krajowych i zagranicznych leży teren, który z powodzeniem mógłby zarabiać wcale nie małe sumy. Inne ośrodki w kraju stają na głowie, by wykorzystać każdą szansę zarobienia złotówki. Inwestujemy w całe miasteczka nad morze żyjące tylko trzy miesiące w roku. Obok izb mieszkalnych najwięcej przybywa nam chyba pomieszczeń dla turystów w hotelach schroniskach, domkach campingo-

wych, nie licząc setek tysięcy namiotów. Tymczasem w Słupcy ciągle jeszcze zastanawiają się czy warto inwestować w obiekt sezonowy, skoro jest tyle innych potrzeb? Twierdzenie na pozór przekonujące, ale dobrze zagospodarowany obiekt na pewno jest opłacalny i może przysporzyć miastu niezłych dochodów.

Zarabia się bowiem nie tylko na przemyśle, chociaż to jest najpewniejszy kawałek chleba. Wiele państw notuje poważne wpływy równie z turystyki. Włochy na przykład zarobiły w ubiegłym roku na zagranicznych turystach 755 milionów dolarów. Trudno porównywać Polskę do Włoch, a Słupcę do Wenecji, ale biorąc pod uwagę to, że nasz kraj staje się coraz atrakcyjniejszym terenem turystycznym, trzeba wyciągać wnioski z tego zjawiska. Jeżeli nie mamy jeszcze takiej liczby turystów, to tylko dlatego, że nasza baza nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana na ich przyjęcie. Poza tym musimy sobie uświadomić, że we Włoszech zarabiają nie tylko ci, którzy mieli okazję zbudować luksusowy hotel w Neapolu czy Wenecji, ale także ci, którzy turystów zdążających do tych miejscowości karmią, którzy dają im nocleg. Słupca nie jest atrakcyjnym terenem turystycznym, ale leży na głównej trasie do takich rejonów.

Wspaniale położony tuż pod miastem park, las, stadion, wszystko to nad brzegiem jeziora, jest doskonałą bazą do założenia pola namiotowego i campingu. Stworzenie takich warunków, aby turysta mógł na miejscu rozbić namiot, korzystać z pra-

Dokończenie na str. 4

Jerzy Kochański

Młody człowiek z maturą

Huśtawka nastrojów trwa nadal. Rozmawianie młodego człowieka z maturą, człowieka nazwanego — dojrzałym, człowieka z pretensjami do samodzielności jest wahlwa i chwiejna. Matura w ręku, pierwszy przekroczony próg życia, tak szalenie oszalała, że młody człowiek zda się przestaje rozróżniać kolory. Pisz prasa: deficyt inżynierów-techników; deficyt inżynierów-rolników, deficyt ekonomistów; deficyt nauczycieli wszelkich specjalności. Mówi się o tym wokół, do znudzenia. Ale czy ze skutkiem?

W roku ubiegłym, prośbę posperrajcie w annałach swojej pamięci, młody człowiek z maturą ruszył ostrym natarciem na archeologię śródziemnomorską. Na jedno miejsce wypadła dziewięciu kandydatów. Zrozumieliśmy — ośmiu powróciło z wrokiem do domu, zatrudniając się do września w PZGS-ach, bankach, szkołach. Wszędzie — oczywi-

ście — bez kwalifikacji. Ale zdawało się na archeologię śródziemnomorską, bo i śniły się ekspedycje na Bliski Wschód, do Egiptu, Palestyny. Marzyły się wykopaliska czy podróże, czy też egzotyka? W roku bieżącym karierę zrobiły — prawo, psychologia, łączność, mikrobiologia, geografia, biochemia. Nadal natomiast nie cieszą się uznaniem — matematyka, fizyka, chemia, filologia (rosyjska, polska). Niemal wszystkie uniwersytety (lubelski, wrocławski, toruński, łódzki) organizują dodatkowe egzaminy na wspomniane kierunki.

Wypadałoby więc wnosić, że także prawo albo psychologia, geografia, mikrobiologia czy biochemia robią największą karierę w życiu gospodarczym i społecznym kraju. Pewnie — w każdej dyscyplinie potrzeba fachowców. Przypuszczalnie więcej prawników, inżynierów łączności, przypuszczalnie mniej mikrobiologów, nie mówiąc już o psychologach.

Oto wznosi się wśród ażurowych rusztowań wyrzutni owoc ich pracy — srebrzyste cielsko rakiety, sięgającej nie małym dziobem chmur. Zdawało by się, jakąż siłą może udźwignąć tego kolosa. Tymczasem wystarczy nacisnąć guzika by ta wielotonowa masa pomknęła w niebo z prędkością przewyższającą chyżość karabinowego pocisku.

Ileż to wysiłku kosztowało uczonych chemików, nim stworzyli oni odpowiednie paliwo o tak nieprawdopodobnej mocy. Konstruktorzy wypróbowali dziesiątki modeli silnika, w którym energia chemiczna paliwa przekształca się w piekielną energię cieplną. W ciągu minuty spalają się setki kilogramów tego paliwa. Strumień gazów o temperaturze kilku tysięcy stopni wylatuje dyszami z ponad dźwiękową prędkością, siłą swego odrzutu nadając przyspieszenie rakiecie.

Tysiące stopni... setki atmosfer ciśnienia... Jakże metal wytrzyma takie warunki. Konstruktorzy żądali coraz bardziej odpornych materiałów. I specjaliści z dziedziny metaloznawstwa stworzyli takie materiały. Dowodem tego jest ogłuszający ryk silni-

Wacław Kwadracki



BOHATEROWIE ZNANI

I NIEZNANI

ka unoszącego olbrzymie cygaro rakiety coraz wyżej i wyżej.

Aby jednak rakietę osiągnęła swój cel, trzeba dokładnie obliczyć tor jej lotu, wytyczyć orbitę, pokierować jej lotem tak by weszła na tę orbitę i umieściła tam pojazd z najcenniejszym i najbardziej kruchym ładunkiem — człowiekiem. W tym celu uczeni musieli się nauczyć dokonywać niezbędnych obli-

czowieka w czasie lotu kosmicznego.

Nim człowiek zajął miejsce w kabinie statku kosmicznego, cały ten wielostronny system urządzeń został wielokrotnie sprawdzony na zwierzętach doświadczalnych w naturalnych warunkach Kosmosu, a także na ludziach w warunkach naziemnych. I wysyłając pierwszego człowieka w Kosmos, uczeni byli raczej pewni powodzenia.

Ich praca i dalszy wysiłek umysłowy w oparciu o konkretne relacje

Kosmiczna kooperacja

czeń w ułamku sekundy. Oczywiście, nie byłoby to możliwe bez superszybkich elektronowych maszyn matematycznych. A to z kolei wymagało nowych osiągnięć fizyków, matematyków, chemików.

Te supernowoczesne środki cybernetyki musiały być zainstalowane nie tylko w naziemnych punktach sterowania, lecz również na statku kosmicznym. To zaś wymagało niesłychanej miniaturyzacji urządzeń, rozwoju techniki półprzewodników, umożliwiającej zastąpienie wielkiej aparatury elektronowej miniaturowymi aparatami wielkości pudełka zapalek.

Należało wreszcie odpowiednio przygotować człowieka, przewidzieć warunki, z jakimi spotka się w Kosmosie, przygotować go odpowiednio do tych warunków i zapewnić mu maksymalne bezpieczeństwo. Lekarze połączyli tu swe wysiłki z biologami, fizykami i teoretykami kosmonautyki. Stworzono odpowiednie skafandry, urządzenia do regeneracji powietrza, stworzono system aparatury biotelemetrycznej umożliwiającej zdalne badanie prawidłowości przebiegu wszystkich funkcji fizjologicznych

pierwszych kosmonautów, umożliwiły dokonywanie jeszcze bardziej niezawodnych i jeszcze bardziej rewelacyjnych lotów.

Dziś jeszcze sławimy odwagę i męstwo pierwszych kosmonautów, którzy swym lotem potwierdzają teoretyczne założenia uczonych. Nie ulega wątpliwości, że i nadal próby nowych statków kosmicznych, torowanie nowych tras w przestrzeni kosmicznej będą wymagały od kosmonauty odwagi pilota-oblatywacza. Jednakże w Kosmos wyruszą również statki kosmiczne uformowanymi już szlakami, z zadaniem wykonania ściśle określonych zadań ekspedycyjno-naukowych lub montażowych. W ich kabinach zajmą miejsce wyszkoleni kosmonauci w których locie podziwiać będziemy nie tyle męstwo i odwagę, ile doniosłość nowych odkryć naukowych. I już w ostatnim locie zespołowym obu kosmonautów te właśnie elementy poznawcze przeważały niewątpliwie nad elementami ryzyka lotu. Może dlatego właśnie jedna z pierwszych depeesz dziękczynnych z Kosmosu po płynęła na ręce tych, których nazywamy dziś Głównym Konstruktorem i Głównym Teoretykiem Kosmonautyki.

I bądź tu mądry? Jedyna odpowiedź: huśtawka. Strzelanie w ciemno. A może na psychologii nie będzie tłoku? — pyta siebie jeden i drugi młody człowiek z maturą. Na archeologii nie ma co szukać, w roku ubiegłym taki tłok — rozumie młody człowiek z maturą. Lepiej psychologia, lepiej geografia, lepiej biochemia. W ogólnym przetargu szans odrzuca się na bok nie tylko potrzeby kraju, gospodarki, odrzuca się i predyspozycje, i zainteresowania, i zdolności. Racjonalny argument zostaje podporządkowany czarnej magii.

Huśtawka trwa

No i właściwie — kogo oskarżać? Kto winien? Młodzież? Tak, ale raczej w części. Realizmu, podobnie jak wiedzy, nie nabywa się poprzez smoczek w kołysce. Do realizmu dochodzi się z czasem, z wiekiem, gdy nierzad życie po głowie uderzy, przede wszystkim, gdy prawdziwy wychowawca — nauczyciel kształtuje osobowość metodą konfrontacji faktów.

Wybór studiów zalicza się na tym materialnym progu, do wiedzy o współczesnej Polsce, o jej życiu, o jej ambicjach, o jej kierunkach rozwoju. Ale, pierwsze: — żadna to wiedza o współczesnej Polsce. A jeśli, to płytka i deklaracyjna,

zebraniowa. Drugie — żadne to wychowanie, tzw. proces wychowania w szkole ogranicza się do „co wolno”, „co nie wolno” lub korespondencji szkoła — rodzice, spisywane na kolanie w dzienniczku.

W warunkach obecnych nie można sobie pozwolić na roztrwonienie sił, zdolności młodzieży. Każdy młody człowiek jest złotem. I w tej dziedzinie musi być prowadzona polityka. Nie może szkoła rozpoczynać akcji rekrutacyjnej na dzień przed decyzją. Po raz pierwszy w swoim życiu, na progu samodzielności, młody dojrzały człowiek ma okazję wykazania się dojrzałością życiową. Młody człowiek wystawia szkole świadectwo dojrzałości. Szkole — w ogóle, nauczycielowi — wychowawcy w szczególności. I rokrocznie od kilku lat szkoła otrzymuje świadectwo negatywne. Od tylu lat problem się miedzi aż do znudzenia, a szkoła nic, jak gdyby wybór studiów pozostawał jedynie w gestii dobrej, zyczliwej, rzekomo doświadczonej, starej ciotki.

Postuluje:

Zebrań wszystkich doświadczonych z ostatnich lat przez resort oświaty i przedłożenie go pod roz-

Dokończenie na str. 4

Poznańskie Sukiennice

(Fragment budowy)

Zdjęcie:

Mirostaw
Idziorek



Michał Łuczak

Czarna praktyka

Zerowanie na ludzkiej krzywdzie i biedzie zawsze jest nikczemne. Tym bardziej zaś, gdy tym, który wykorzystuje ciężką sytuację jest lekarz...

Dr Józef G., ordynator oddziału chorób wewnętrznych Szpitala Powiatowego w Koninie miał markę dobrego organizatora i wytrawnego specjalisty. Jeśli dodać, że Józef G. prowadził prywatną praktykę — to nasuwa się wniosek: jego sytuacja materialna kształtowała się korzystnie. Mimo tego dr G. zdecydował się na „czarną praktykę”: na pobieranie od pacjentów opłat w związku z wykonywaniem normalnych obowiązków służbowych ordynatora.

Powszechnie wiadomo, że np. za wypisanie pacjentowi recepty na terenie szpitala, nie wolno pobierać jakichkolwiek opłat. Tymczasem dr G. wiedząc, że pacjent z reguły nie dysponuje większą gotówką polecał mu sprowadzić do szpitala „kogoś z rodziny”. Wezwani (nawet telefonicznie!) przychodzili, by usłyszeć, że żona, mąż, matka są poważnie chorzy i mogą być skutecznie leczeni jedynie zagranicznymi lekami. Po takim „oredu” dr G. wypisywał receptę i żądał pieniędzy. Np. 3 recepty wypisane dla wezwanego telefonicznie Ignacego W., którego żona przebywała w szpitalu kosztowały 100 zł. Dr G. pobierał również pieniądze za dokonywanie w szpitalu badania. Płacono bez sprzeciwu. Chodziło przecież o zdrowie i życie najbliższych.

Solidarność

Sąd ogłosił w tej sprawie wyrok skazujący, wyrażając nadzieję, że spełni on swą „rolę” ostrzegawczą wobec innych osób, które tu i ówdzie uprawiają jeszcze tzw. „czarną praktykę”. Na marginesie tej sprawy chcę mówić o złej i dobrze pojmowanej solidarności zawodowej.

Wiadomość o rozprawie sądowej Józefa G. nie była przysłówiowym gromem z jasnego nieba. Już w 1958 roku na posiedzeniu Prezydium PRN w Koninie sprawa Józefa G. stała się przedmiotem dyskusji. Wówczas to dr P., ówczesny ordynator stwierdził, że lekarz Józef G. prowadził w szpitalu prywatną praktykę. I co dalej? Niestety, nic. Ordynator P., kierując się widocznymi złymi pojęciami solidarności zawodowej, zmienił swoje twierdzenie. Przesłuchiwany w charakterze świadka wyjaśnił, że jego wypowiedź została błędnie zaprotokołowana.

Nie trzeba jednak analizować, kiedy ordynator P. mówił prawdę; faktem jest, że już w 1958 r. głośno rozprawiano o nieuczciwym procederze dr. G., procederze kolidującym nie tylko z etyką, ale i z prawem. Sek w tym, że tylko mówiono. Oczywiście prawda: tolerowanie czarnej praktyki podkopuje autorytet służby zdrowia — to do nikogo nie docierało.

Prawie do nikogo. Na szczęście znalazł się jeden człowiek, który postanowił położyć kres praktykom Józefa G. Dr Witold P. — tak się bowiem nazywał ów sprawiedliwy — nie miał łatwiej drogi. Nie zraził się tym wcale. Pełniąc funkcję przewodniczącego rady zakładowej w szpitalu oraz radnego MRN w Koninie czuł się odpowiedzialny za wyjaśnienie tej nieprzyjemnej sprawy. Rozumował i słusznie — że pozostawienie afery samej sobie podrywa autorytet lekarzy — że stokroć lepiej położyć kres nadużyciom niż je tuszować. Realizując tę decyzję przeprowadził rozmowę z Józefem G. Ten stanowczo wszystkiemu zaprzeczył. Ponieważ pogłoski o aferze wciąż przybierały na sile, dr Witold P. przedstawił sprawę na posiedzeniu rady zakładowej. Nie znalazł jednak większego zrozumienia. Ogólnie twierdzono: „brak dowodów”. Wobec tego Witold P. zebrał konkretne materiały dowodowe w oparciu o informacje pacjentów korzystających z usług Józefa G. Afera została wykryta...

Postawa Witolda P. wywołuje jak najbardziej optymistyczne refleksje. Jednakże fakt, że działał on osamotniony nie jest zbyt pocieszający. Po raz nie wiadomo który okazuje się, że mało jest wśród nas demaskatorów zła.

Niepowetowane szkody

Spójrzmy na ten problem nieco szerzej. Sprawa Józefa G. jest jego sprawą, a nie sprawą całego

środowiska lekarskiego. W każdej grupie społecznej można przecież znaleźć aspołeczne, przestępcze jednostki. Nikt, kto rozumny, nie będzie uogólniał: skoro Józef G. był nieuczciwy to wszyscy lekarze są nieuczciwi. I dlatego nie ujawnienie afery może kompromitować innych lekarzy, lecz jej tolerowanie, stosowanie strusiej metody chowania głowy w piasek.

Niepowetowane szkody wynikają właśnie z takiego stosunku do nadużyć. Przecież przestępca — o czym wokół wszyscy wiedzą — działa i wrosł mu z głowy nie spada. Ludzie, którzy powinni ingerować, patrzeć na to przez palce. W niepamięć idą oczywiste prawdy. Zapomina się, że nikomu nie wolno łamać obowiązujących przepisów. Zapomina się, że od ludzi pełniących odpowiedzialne funkcje trzeba wymagać więcej niż od szeregowych pracowników. Zapomina się o tym wszystkim i o wielu jeszcze innych, kardynalnych zasadach socjalistycznej moralności.

Tymczasem przestępca działa bezkarnie. Powoli staje się kretem autorytetu całego środowiska, czy nawet autorytetu władzy ludowej. Owa niezrozumiała i irytująca każdego kto posiada poczucie sprawiedliwości — bezkarność stanowi bowiem wodę na młyn wszelakich plotek i uogólnień. Rodzi się pesymizm, nadmierna podejrzliwość, malkontentstwo.

Warto by o tym pomyśleli ci wszyscy, którzy obojętnie przechodzą obok zła.

Bogusław Kogut

Kultura podróży

Kulturę społeczeństwa poznaje się nie tylko po książkach najlepszych pisarzy i najatrakcyjniejszych filmach, w teatrach i na wystawach. Oprócz czołowych i trwałych przejawów działalności kulturalnej narodu jest jeszcze kwestia ogólnej kultury życia na codzień. Niezłym punktem obserwacyjnym w tym względzie są chociażby wielkie dworce kolejowe w czasie nasilonego ruchu pasażerskiego, np. w okresie urlopów.

Osobiście nie lubię podróżować pociągami. Może dlatego, że od dzieciństwa zmuszony byłem do nadmiernego korzystania z żelaznej drogi. Dwa razy dziennie tam i z powrotem, zimą, wiosną czy jesienią podróżować pociągami, by dostać się do szkoły i ze szkoły do domu — przyznacie, że można było ulec przesytowi. Ale i teraz trzeba czasami pojechać koleją.

odwiedzić zatłoczony dworzec, przywodzący na myśl mrowisko. Ileż tu okazji do refleksji i zadumy! Nie tylko nad podobieństwem dworców do mrowisk, ale także nad obyczajami, kulturą, wreszcie godnością ludzką bądź jej brakiem.

Taki obrazek: Nadjeżdża przeladowany pociąg do Lublina. Zaraz, jak zwykle, szturm do drzwi — każdy bowiem chce jechać. Słyszysz kogoś pytającego: „Czy to pociąg do Ostrowa?”. Pytanie nie koniecznie do mnie — niewidomy w tłumie mówi w przestrzeń, mówi do nikogo i zarazem do wszystkich. Nie wiem akurat, czy do Lublina to przez Ostrow. Szukam tablicy informującej o trasie, wracam z informacją. Niewidomy siedzi na walizce — pewnie mu ktoś powiedział, że to nie ten pociąg. „Do Ostrowa — mówię — czemu pan nie wsiada?” „Bo mnie nie wpuszczą”.

Nikt nie zauważył białej laski niewidomego; nikt, nawet konduktor, dla którego to już przecież nie tylko grzeszność, kultura, dżentelmeństwo czy jak tam — ale po prostu obowiązująca z wyjątkiem z określonej instrukcji.

Nawiasem mówiąc, byłem kiedyś świadkiem — a było to, o ile

dobre pamiętam, w Opolu — jak konduktor zaopiekował się pasażerem z białą laską, w tłoku odszukał „piorunem” miejsce przeznaczone dla inwalidów, grzecznie acz stanowczo wyprosił z tego miejsca oburzonego jegomościa, który też „chciał jechać”, i ułokował inwalidę. Ale to było bardzo dawno, więc już prawie nieprawda.

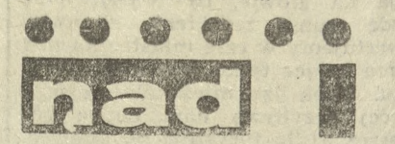
A tutaj, aktualnie, konduktora „niet”. Wierzę, że z żoną próbujemy perwersji w stosunku do tłoczonych się przy wagonie. Patrz na nas jak na wariatów. Tyłko jeden młody człowiek w mundurze żołnierza WP dał się przekonać — ale i jemu, zdrowemu i silnemu nie było łatwo przechować niewidomego pośród rozjuszonych obywateli, z których „każdy chce jechać”. Wreszcie odnaleźliśmy konduktora. Nie znam faceta, ale pewnie jest, że to nie tamten z Opoli. Nie kiwnął palcem, nie odezwał się. Z założonymi na kuprze rękami przyglądał się i dumał. Wydumał zapewne, że rycerskość obowiązuje tylko żołnierza WP — a jego, władcy pociągu i reprezentanta PKP wobec wszystkich pasażerów, to już ta rycerskość nie obowiązuje.

Kiedy pociąg ruszał z miejsca, żołnierz i jego przygodny pod-

opieczny z białą laską stali przy drzwiach, ostatni. Żołnierz pilnie baczył na klamkę, zdaje się trzymał ją nawet niedomkniętą. Konduktora nie było w polu widzenia — poszedł pełnić obowiązek gdzieś do innego wagonu, gdzie nie musiał patrzeć na perypetie niewidomego.

Czekając na swój pociąg, miałem czas i okazję zadumać się nieco nad tak zwanymi tajemnicami duszy polskiego obywatela, ściślej — podróżnego, pasażera PKP. Nad egoizmem i ponurym chamsstwem, nad przedziwnym zanikiem taktu, kultury i wszelkich oznak jakiegokolwiek wychowania, nad zanikiem tych znamion u tak wielu ludzi naraz, gdy tylko znajdują się oni przed zatłoczonym pulmanem. Zasmuceniłem się bardzo — i pozwólcie, że nie będę wyciągał wniosków umoralniających.

P. S. Napisałem — i zasmuceniłem się jeszcze głębiej. Bo oto ktoś mi znów wytknie publicznie, że nie mam nic lepszego do roboty jak bronić słabszych; dzieci, inwalidów...



Jan Kałarkiewicz

PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

Wrzesień 1939 r. należy do tych historycznych dat, które w podręcznikach historii wszystkich narodów zajmą trwałe miejsce. Jest to bowiem data wybuchu II wojny światowej. Przede wszystkim jednak data ta jest ważna dla nas, Polaków, a to ze względu na jej skutki, które w tragiczny sposób zaważyły na losach zarówno jednostek, jak i całego społeczeństwa polskiego.

Ocena wydarzeń z września 1939 r. przez historyków — szczególnie jeśli chodzi o stronę militarną — nie jest jednolita, wydarzenia bowiem nastąpiły stosunkowo niedawno, nie wszystkie fakty są znane i nie wszystkie do końca wyjaśnione. Wszyscy jednak zgadzają się obecnie na jedno: wojsko polskie biło się we wrześniu 1939 r. dobrze, lepiej niż inne armie w początkowej fazie wojny. Stwierdzenie to opierają oni na następujących faktach:

Wojna była w zasadzie przegrana przedtem, zanim padły pierwsze strzały, co wynikało z sytuacji politycznej w jakiej znajdowała się ówczesna Polska, ze słabości ekonomicznej i militarnej oraz katastrofalnego położenia strategicznego, związanego m. in. z krzywdzącymi dla Polski postanowieniami Traktatu Wersalskiego.

Do tego Polska była napadnięta w momencie, gdy jej armia znajdowała się w toku zbyt późnej mobilizacji odwołanej zresztą celowo pod presją Anglii i Francji i gdy w wyznaczonych rejonach koncentracji znajdowały się niepełne stany jednostek. (66 proc. piechoty, 73 proc. kawalerii i 57 proc. artylerii). Mimo tych momentów wojsko polskie biło się 35 dni.

Dla porównania warto dodać, że na froncie zachodnim sojusznicze armie — francuska, angielska, belgijska i holenderska, które miały czas na mobilizowanie się i koncentrację, broniły się w 1940 roku zaledwie w ciągu 38 dni i to w warunkach, gdy górowały nad przeciwnikiem liczebnością związków taktycznych i miały na granicy potężne umocnienia w postaci linii Maginot'a.

Niektórzy dowodzą, że mimo poniesionych w pierwszej fazie wojny porażek, mogłaby ona być w krótkim czasie wygrana, gdyby sojusznicy, tj. Francuzi i Anglicy wypełnili swoje zobowiązania i rozwinieli ofensywne działania na zachodzie, kiedy gros niemieckich sił było uwikłanych w walkach z armią polską. Rzecz jednak w tym, że zachodni sojusznicy — podobnie jak Polska — po pierwsze — nie byli gotowi do wojny, a po drugie — jak to się później okazało — nie było w ich intencjach rozprawiać się definitywnie z przeciwnikiem, którego w rzeczywistości chcieli skierować — po trupie Polski — na Wschód. A że w swoich rachubach trochę się pomylili i w pewnym momencie sami znaleźli się na krawędzi przepaści, to już jest inna sprawa.

Z nauki historii — a wrzesień 1939 to przecież już jest historia — trzeba wyciągnąć wnioski i takie wnioski w Polsce zostały wysnute. Polska popiera wszystkie inicjatywy na forum międzynarodowym, które zmierzają do wyeliminowania wojny jako środka w rozstrzyganiu sporów i sama prowadzi politykę pokojową pod każdym względem. Jej stosunki zagraniczne opierają się na szacunku i przyjaźni ze wszystkimi państwami i narodami, które chcą jej odpać wzajemnością, a szczególnie to się odnosi do najbliższych sąsiadów ZSRR, CSRS i NRD. W przeciwnieństwie do okresu sprzed 1939 r. Polska zgodnie ze swą racją stanu pozostaje w przyjaznych stosunkach zarówno z ZSRR jak i sąsiadującym z nią państwem niemieckim, Niemiecka Republika Demokratyczna uznaje istniejącą granicę na Odrze i Nysie, sojusz ze Związkiem Radzieckim chroni ją skutecznie przed zakusami tych, którzy dążą do rewizji istniejącego stanu rzeczy.

W tym stanie rzeczy cały wysiłek państwa skierowany jest na budownictwo pokojowe — rozwój przemysłu, rolnictwa, oświaty, podniesienie stopy życiowej wszystkich obywateli, na zlikwidowanie wiekowych zaniedbań, które postawiły Polskę w rzędzie państw zacofanych i opóźnionych w rozwoju, co tak fatalnie odbiło się w dniach wielkiej próby jaką był wrzesień 1939 r.

„Nigdy więcej wojny!” — to patetyczne hasło rozlegało się bardzo często z trybun, wzywało ze szpał gazet, było codzienną deklaracją wszystkich, którzy doznali gorczych klęski i doświadczyli jej skutków.

Na podstawie dotychczasowych osiągnięć wolno sądzić, że droga obrona przez naród Polski, aczkolwiek niełatwa, gwarantuje, że wrzesień więcej się nie powtórzy. Jej potencjał gospodarczy liczy się obecnie w świecie. Armia jest uzbrojona w najnowocześniejszy sprzęt. Sąsiedzi są obecnie jej przyjacielami. Wreszcie — jako członek Paktu Warszawskiego — może liczyć na realną, a nie wymaganą pomoc potężnych sojuszników, gdyby w jakiś sposób jej granice były zagrożone. Nauka wyciągnięta z tragicznego września nie poszła na marne.

Baedeker poetycki BYDGOSZCZ

Ma i Bydgoszcz swoją starszą generację poetów, należy do nich przede wszystkim obecny prezes oddziału ZLP, Alfred Kowalski, w którego biografii występuje ten niezwykle ciekawy szczegół, że urodził się w Świnoujściu, natomiast w wykazie twórczym znaleźć można zarówno utwory oryginalne, jak i przekłady, szczególnie autorów niemieckich.

Po ostatniej wojnie można było napisać publikacje, w których przedstawiano Kowalskiego jako autochtona Ziemi Zachodnich, czemu jednak poeta zaprzeczał — o tym, że urodził się w Świnoujściu przesądził przypadek, po prostu przed I wojną światową tam wypadło przebywać i pracować przez pewien, dość krótki czas, rodzicom Kowalskiego.

Bydgoszcz zaś sama nie obfitowała tak przed ostatnią wojną, jak i po wojnie, w poetów. Nie ma więc i bogactwa tradycji literackiej — tradycja ta jednakże mają w Bydgoszczy wyjątkowo podatny grunt, a początkiem ich rozwoju są już dwa periody literackie, festiwal poetycki i teatralny. Ślad również podział na generacje nie ma jeszcze w tym mieście wyraźnych uzasadnień.

Nie mogą zastosować ścisłego podziału pokoleniowego, przyjmując zasadę zaliczenia do młodych tych poetów, którzy debiutowali książkowymi wydawnictwami wierszy w ciągu ostatnich trzech lat. Zasada ta niecisła, jako że mamy tu do czynienia z autorami bardzo młodymi, około dwudziestu lat, jak i takimi młodzieńcami, którzy przekroczyli dość dawno trzydziestkę. Ale to zjawisko nie tylko bydgoskie — podobną sytuację znajdziemy i w innych ośrodkach.

Otóż wiersze owych młodych poetów bydgoskich obejmują cztery tomiki indywidualne i jeden almanach. Spośród nich zwraca uwagę prosto i surowo stylizacja ludowej Wiesława Rogowskiego w niepretensjonalnym zbiorze „Białe i wiersze”. Również niepretensjonalne są tomiki Kazimierza Jułgi — „Krawędź”, Kazimierza Hoffmana — „Trzy piętra domu” i Marii Kaloty-Szymanowskiej — „Koleiny”. W uspokojony sposób opisują obserwowaną codzienność, nie wychodzą poza naiwny realizm, pędząc żywot kulturalnych liryków nastroju.

Nie dziwię się więc impetowi, jaki próbuje nadać poczynaniom literackim Bydgoszczy i Torunia grupa poetycka „Wiatraki”, skupiona wokół dwutygodnika „Fakty i Myśli”. Jednakże własne utwory poetyckie członków ugrupowania — poza wierszami Jana Górecy-Rosińskiego i Zdzisława Polsakiewicza — nie potwierdzają jednakże ani owego buntu młodości, ani nie okazują nawet czynnej postawy, obojętne — w wersyfikacji czy też aktywności intelektualnej.

O to właśnie mam pretensje największe do Andrzeja Baszkowskiego, który w almanachu „Wiatraki” zaprezentował się wierszami okazującymi znajomość cierpieniowa, bezradność, abnegację, nawet, objawiane obsesyjnie we wszystkich utworach. Dopatrzyć się w tej postawie Baszkowskiego uległości wobec panującej obecnie mody w poezji, najzupełniej zresztą niepotrzebnie i bez uzasadnienia.

Więcej pasji, więcej zwierzeń swoich rozterek i więcej autentyczności znajduję w wierszach Jana Mirosława Kasjana, optymisty Jana Górecy-Rosińskiego czy sceptyka Zdzisława Polsakiewicza. Wobec ich wierszy nie można przejść obojętnie, mimo całego ich rozwichrzenia i łatwości wypowiedzi. Autorem tych wierszy o coś chodzi, nie jest im obojętne ani dzisiejsze społeczeństwo, ani własna postawa wobec innych.

Zgodnie z dewizą Górecy-Rosińskiego, zawartą w wierszu „Osiatni Don Kichot”: nienawidzą świat, ale i kochają go jednocześnie bardziej, niż inni, niż wielu współczesnych poetów. A przecież — jak mówi się potocznie — to znaczy zrozumieć. („Zrozumieć to znaczy wybaczyć”, co czynimy, poprawiając autora — dop. red.)

Założeniem tego baedekera było ukazać młode ośrodki poetyckie Polski północno-zachodniej, pozostające w polu widzenia Poznania. Zaczęłam od Olsztyna, mówiłam o Gdańsku, Koszalinie, Szczecinie, Zielonej Górze i Poznaniu, omówieniem dzisiejszym Bydgoszczę uważam swoje zadanie za wykonane. Dziękuję za uwagę. Miło mi będzie, jeśli te moje baedekerowskie informacje i uwagi zainteresowały i powiększyły wiedzę przynajmniej dziesięciu Czytelników.

Feliks Fornalczyk



Karol Szymanowski

Dlaczego właśnie ja, ani muzyk, ani muzykolog, a tylko jedna z wielu tych, którzy muzykę po prostu kochają, biorę się do tej gawędy o wielkim kompozytorze? Czy mogę, czy mam prawo opowiedzieć o nim szerszemu gronu czytelników? Chyba tak. Los bowiem sprawił, że pracowałam z nim i opiekowałam się nim w ostatnim okresie jego życia i byłam przy nim aż do śmierci.

Karol Szymanowski — człowiek, może zainteresować szerszy ogół czytelników, nie tylko wielbicieli jego muzyki. Otworzył on nowy rozdział rozwoju muzyki polskiej, rozdział piękny i bogaty.

Brat i trzy siostry

Komponował od lat najmłodszych. Przez pierwszy okres swej twórczości był pod wielkim wpływem muzyki niemieckiej, która w tym czasie (początek naszego stulecia) znajdowała się w pełnym rozkwicie. W ostatnich latach swego życia, kiedy to tworzył swe największe arcydzieła, powstawały one pod wpływem polskiego folkloru.

Wanda Chila

Zdewaluowany pieniądz

Wybieżka stała się u nas od pewnego czasu swoistym rodzajem waluty. Płacą nią panowie Przybylski i Rokita co bystrzejшему zwoleńnikom zgadują-zgadunów emocji; płaci pan kierownik szkoły za dobre sprawowanie klasy a mama i tata za piątki na świadectwie; płaci również zarząd gminnej spółdzielni i dyrektor zakładu za osiągnięcia w pracy społecznej i zawodowej. Zasada piękna i pożyteczna; podróż, jak wiadomo, kształca, a nagroda zachęca do wytrwałości. Tylko, że pieniądz, jak to pieniądz: są tacy, którzy wydadzą go z umiarem i rozważą, i tacy, których cieszy sam proces wydawania.

Nie po raz pierwszy już „utrącajuszostwo” zarzucono dysponentom tzw. funduszu socjalno-kulturalnego w najróżnorodniejszych przedsiębiorstwach. Okazuje się, że temat jest nadal aktualny. Choć życie nie się z sobą setki coraz to nowych potrzeb kulturalnych, zasoby finansowe, mogące tym potrzebom zadośćuczynić wydaje się niezmiennie od lat według starego klucza: „sa pieniądze — jedziemy na wycieczkę”.

Niechże tylko zainteresowani nie zaliczają nas w poczet wrógów wycieczek! To bardzo dobrze, że PGR Kobylniki znalazł fundusze na umożliwienie swym najlepszym 3-tygodniowego pobytu w Czechosłowacji, a PGR — Wróblewo zawiązał swoich pracowników kilkakrotnie do Opery, zaś kobietom w dniu ich święta „za-fundował” przedstawienie w Operetce Poznańskiej. Dodajmy od razu, że nie były to jedyne przejawy działalności kulturalnej w tychże miejscowościach. Klucz — Kobylniki ze swojego funduszu k-o, wynoszącego w ub. roku 317 tysięcy złotych, oko-

Leonia Gradstein

byłam przy nim aż do śmierci

zwłaszcza góralskiego. To muzyka oryginalna, prosta, szlachetna i bardzo polska. Do dzieł tych należy zaliczyć IV Symfonię Koncertującą, Harnasie, Stabat Mater oraz szereg pięknych pieśni.

Raz jeszcze, i właściwie pozornie, odejdę od tematu, by podać kilka niezbędnych dat biograficznych. Karol Szymanowski urodził się w 1882 roku w rodzinnym majątku Tymoszwówce, na Ukrainie. Miał starszego od siebie brata Feliksa, który był wcale niezłym muzykiem — amatorem, oraz trzy siostry. Najstarsza Anna, malowała dobrze, choć po amatorsku, Stanisława była śpiewaczką o światowej sławie. Najbliższa bratu wiekiem i usposobieniem — była mu całe życie drogim przyjacielem. Ona też, wraz ze mną, była przy śmierci Szymanowskiego. Najmłodsza Zofia, zwana w rodzinie „Zioka”, była zdolną pisarką. W swojej „Książce o naszym domu” wspomina swe lata dziecięce w rodzinnej Tymoszwówce i daje sylwetki członków rodziny.

Lata dziecięce spędził Karol Szymanowski w atmosferze rodzinnego ciepła i wielkiej miłości. Ojciec jego, z zamiłowaniem uczony, z konieczności tylko zajmował się zarządkiem majątku. Matka, pani Anna — była bez przesady chyba wzorem żony i matki. Dzieci darzyły ją gorącą miłością

i po wczesnej śmierci ojca — otoczyły czułą opieką.

O karierze kompozytorskiej Szymanowskiego nie będzie tu już mowy. Przeżył — jak wszyscy nowatorzy — lata trudne, by wreszcie za-triumfować sztuką.

Bez mieszkania i własnego fortepianu

Od dzieciństwa wątły i chorowity, a w latach ostatnich chory na gruźlicę, nie miał prawie nigdy potrzebnych mu wygod życia codziennego. Należałoby zacząć od tego, co wielu czytelnikom wyda się nieprawdopodobne, że nie posiadał nigdy ani własnego mieszkania, ani własnego instrumentu. Przez wiele, wiele lat tułał się po pokojach hotelowych, korzystał z serdecznej gościnności swej siostry Stanisławy, wreszcie stworzył sobie prowizoryczny „dom” w góralskim domku, wynajmowanym na stałe od znacznej gądziny. W skromnym tym mieszkanku pracował przy stole kuchennym. Pianino wynajmował za opłatą miesięczną.

Nie tak zapewne wyobrażają sobie ludzie warunki bytowania wielkiego artysty. A jednak było tak właśnie, aż do końca jego życia. Borykanie się z trudnościami finansowymi — to był chleb powszedni. Osoby, które

dział osoby nastawiające telewizor. Pozostałe kwoty funduszu okrywa mgła tajemnicy. Oto Pluszownia w Kaliszu: przez cały ubiegły sezon nie zakupiła ani jednego biletu do teatru dla swoich pracowników. Oto rzeźnia w Grodzisku: dyrekcja zabiega o budowę ośrodka campingowego, ani groza jednak nie kwapi się wydać na książki, czasopisma, sprzęt świetlicowy, ani też wycieczki bez plecaka, lecz za to z biletem do teatru w kieszeni.

Słowem — choć ten fundusz z ustawy i nazwy przeznaczony jest na cele kulturalno-socjalne, rozmaicie z jego wydawaniem bywa. Najgorzej zaś, że nie zawsze dysponują nim ludzie, którzy rzeczywiście mają coś do powiedzenia o współczesnych potrzebach kulturalnych pracowników.

Na zakończenie przypomnijmy jeszcze spółdzielnię produkcyjną w Śliwnie (pow. nowotomyski), która zdobyła pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie „Przyjemnie — pożytecznie — wesoło”. Społeczna inicjatywa, skoordynowane wysiłki oraz

możliwość finansowych a przede wszystkim mądre, gospodarskie i zgodne z duchem czasu dysponowanie posiadanymi środkami pozwoliły w sposób zasadniczy odmienić życie mieszkańców. Odnowione budynki gospodarskie, uporządkowane i ogrodzone żywopłotami obejścia, uporządkowany park z ogródkiem jordanowskim, doskonale wyposażone świetlice, nowo powstałe ognisko muzyczne i o niektóre tylko przykłady efektów udziału w konkursie.

Nowy sezon k-o mamy obecnie przed sobą. Zanim dojdzie do kolejnego podziału funduszy, przeznaczone na kulturę, warto zastanowić się nad tym, co więcej pożytku przyniesie: wycieczka, czy może np. urządzenie własnej sceny, na której można by przyjmować dobre zespoły z Poznania czy innych miast. Wycieczka bowiem, choćby najbardziej udana, jest przecież tylko jednorazowym „występem” na arenie wielkiego życia kulturalnego. Jeśli wraca się z niej do własnej, zapadłej wsi — niewiele chyba można powiedzieć o zbawczach kulturalnych i kulturze życia codziennego naszych czasów.

nie znali jego warunków materialnych, nie domyśliłyby się ich zapewne. Szymanowski potrafił bowiem zachować zawsze wytworność, zarówno wyglądu jak i obejścia. Jego ogromny wdzięk osobisty, we wspomnieniach pośmiertnych podkreślany w całej prasie zagranicznej i polskiej, staranny ubiór i zadbanie — czyniły go człowiekiem eleganckim. Dopiero ci, którzy wiedzieli, że nowy frak i ciepły zimowy płaszcz były nieziszczonym pragnieniem kompozytora, że od koncertu do koncertu mówiło się o konieczności sprawienia nowego fraka, a od zimy do zimy o konieczności ciepłego okrycia — orientowali się, jak trudne miał życie.

Dowcipny i przesądny

A przecież w jego usposobieniu nie było nic ponurego. Gdy czuł się dobrze, a nawet tylko nieźle, lubił towarzystwo, gawędę z bliskimi mu ludźmi, w rozmowie był dowcipny i lubił dowcipy. Nie znośił ponurych rozważań i tematów. Lubiał i umiał wspominać. Czytał dużo w ogromnej skali, od bardzo poważnych książek naukowych (fizyka, matematyka, astronomia) do czystej, czasami nawet tylko rozrywkowej beletrystyki. Gdy był bardzo zmęczony pracą, albo zbyt słaby, by pracować — chętnie brał do ręki dobry kryminał, najchętniej Simenona, lub lubianego angielskiego humorystę Wodehouse'a.

Rozrywką „wyjściową” było kino. W kinie umiał wzruszać się szczerze i równie szczerze śmiać. W ostatnich czasach wołał komedie od filmów nie tyle poważnych, co smutnych lub tragicznych. Był bardzo przesądny, co wydać się może dziwne czytelnikom, znającym jego zainteresowania naukami ścisłymi. Tak jednak było. Zarówno w rozmowach, jak i w sztuce nie lubił tematu śmierci. Była to zapewne bezwiedna ucieczka od własnych myśli, które koło tego tematu krążyć musiały.

Nauczycielski sejmik

Dziś i jutro odbywa się w Wolsztynie Plenum Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ten zjazd nauczycielskiego aktywu ma szczególną wagę wobec zbliżającego się Kongresu Związków Zawodowych oraz 25 rocznicy strajków nauczycielskich, a także planowanego na rok przyszły Kongresu Pedagogicznego. Wokół tych trzech spraw koncentrują się obrady nauczycielskiego sejmiku, który stanie się zapewne bodźcem do zaaktywizowania jak najszerszych rzesz nauczycieli i wciągnięcia ich do współpracy.

ZNP w naszym województwie przygotowuje się do Kongresu ZZ. Zostanie wkrótce wydana książka 40-lecia ZNP w Wielkopolsce, rozwija się życie organizacyjne nauczycieli, m. in. przy pomocy klubów ZNP, których przybyło w tym roku 4 (w Wolsztynie, Pleszewie, Obornikach i Koninie), pogłębia się ideowe zaangażowanie nauczycieli, czemu do-brze służą rejonowe konferencje nauczycieli odbywające się w ciągu całego roku. Są i drażliwe problemy: rozmaite tarca na terenie szkoły, które jeszcze nie dość skutecznie rozwiązywane są przez ogniska ZNP, istnieją możliwości poprawy sytuacji bytowej nauczycieli, nie zawsze w pełni wykorzystywane przez rady narodowe, szczególnie na wsi gdzie warunki mieszkaniowe nauczycieli są często opłakane.

25-lecie strajków nauczycielskich będzie ważnym przypomnieniem zaangażowania się nauczycieli w Polsce sanacyjnej po stronie postępu i humanizmu. Zławsza poznański ośrodek bardzo energicznie wystąpił wówczas, w 1937 r., przeciw zawieszeniu przez rząd działalności Zarządu Głównego ZNP, przeciw mianowaniu komisarza. W całym kraju dano wyraz protestom przeciw polityce rządu, w licznych rejonach przetrwano naukę, odmawiano przyjmowania prasy nauczycielskiej wydawanej wtedy w proreżimowym duchu, nie przesyłano składek związkowych do centrali. Chodzi teraz o przypomnienie istotnego udziału Poznania w tej akcji.

Kongres Pedagogiczny ma się odbyć dopiero jesienią przyszłego roku, lecz nie od dziś trwają już przygotowania do niego. Ma to być bowiem wielkie wydarzenie dla szkoły i nauczycieli. Podsumuje on osiągnięcia pedagogiczne 20-lecia PRL oraz wytyczy drogi wciągnięcia mas nauczycielskich do realizacji reformy szkolnej.

Dzisiejsze Plenum ZO ZNP ma więc pełne ręce roboty. Pomyślnych obrad!

SKRZYDLATA LITERATURA

Autor „Popiołów” i „Ludzi bezdomnych” — Stefan Żeromski był pierwszym pisarzem polskim, w którego książce znajduje się opis lotu samolotem. W miarę rozwoju lotnictwa tematyka ta pojawia się w książkach innych pisarzy — Kornela Makuszyńskiego („Skrzydlaty chłopiec”), Ejsmonda, Ossendowskiego, Umińskiego i innych.

Z okazji święta lotnictwa warto poświęcić nieco uwagi bliskim związkom, jakie łączy naszą literaturę z lotnictwem.

Pierwszym pisarzem polskim, który swoje pióro poświęcił wyłącznie „Skrzydlatym władcom świata” był Janusz Meissner — dziś już bez wątpienia klasyk literatury lotniczej. „Skoła orla”, „Pierwsze kroki”, „Hangar nr 7” — to książki, które w dwudziestolecie międzywojennym cieszyły się niebywałą popularnością. Niewątpliwie przysporzyły one „polskim skrzydłom” entuzjastów, których nazwiska zapisały się później chlubnie w historii naszego lotnictwa wojskowego, komunikacyjnego i sportowego. Do 1939 roku popularny pisarz wydał około 20 to-

mów opowiadań i powieści o tematyce lotniczej.

Okresy wojenny i powojenny — to drugi rozdział bogatej twórczości Meissnera. Powieści „Żądło Genowefy”, „L jak Lucy” czy książka o pierwszym pułku myśliwskim Ludowego Wojska Polskiego — „Warszawa — kurs na Berlin” szybko znikają z półek księgarskich, a talentowi Meissnera przysparzają wielu nowych miłośników.

Młodszym kolegą Meissnera po piórze i w zawodzie lotnika jest Bohdan Arct, drugi pisarz, którego liczne już dziś książki poświęcone są wyłącznie lotnictwu.

Najbardziej znanymi pozycjami z bogatego dorobku pisarskiego kapitana pilota Arcta są: zbeletryzowane wspomnienia wojenne autora pt. „Niebo w ogniu”, ujęta popularnie historia polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii — „W podniebnej chwale” oraz opowieść o polskich lotnikach od początków lotnictwa do okresu powojennego — „Rycerze białoczerwonej szachownicy”.

Druga wojna światowa, okres chwały polskich lotników walczących pod niebem polskim, francuskim, angielskim i radzieckim znalazła bogate odbicie w literaturze pamiętnikarskiej. Najbardziej znane wspomnienia pilotów — uczestników kampanii wrześniowej to: „Czarne krzyże nad Polską” Stanisława Skalskiego i „114-ta na start” Bronisława Dąbrowskiego. Z licznych wspom-

nień lotników, startujących do walki z Luftwaffe z lotnisk brytyjskich na czoło wybija się wspomnienie Tadeusza Rolskiego „Uwaga wszystkie samoloty” i Władysława Kisielewskiego „Od Torunia do Londynu podróż z przeszkodami”. Temu okresowi poświęcony jest znakomity, tłumaczony jeszcze w czasie wojny na wiele języków reportaż Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303”.

Wśród pozycji, poświęconych walkom pułków lotniczych Ludowego Wojska Polskiego uwagę zwraca opowieść Medarda Koniecznego i Kazimierza Sławińskiego „Jaki startują o świcie”.

Od pierwszych chwil powstania lotnictwa piloci polscy zapisali na swoim koncie wiele wybitnych sukcesów sportowych. Mówią o nich między innymi pamiętniki lotników polskich z lat 1906—1914, wspomnienia Jana Nagórskiego, pilota, który pierwszy dokonał lotu arktycznego, książka Strumpf-Wojtkiewicza „Bohaterowie przestworzy”.

Odrębną dział tej literatury stanowią wspomnienia przedwojennych pilotów-rekordzistów: Skarżyńskiego, Żwirki, Burzyńskiego, Karpińskiego. Fragmenty tych książek ukazały się po wojnie nakładem wydawnictwa MON w tomie pt. „Polskie skrzydła nad światem”.

Trudną i piękną pracę lotników ukazują również wspomnienia kobiet-lotników: „Kobiety na skrzydłach”, wspomnienia znanego szymbownika Zientka „Wielka przygoda”, wspomnienia spadochroniarza Tracza, czy książka Arcta o pilotach lotniczego pogotowia ratunkowego pt. „Pomoc musi nadejść”.

Rośnie także lista pozycji z literatury pięknej, poświęconych lotnictwu, którą zapoczątkowały niedgdy opowieści lotnicze Stefania Sempolowskiej „Do Bieguna Północnego” i „Na ratunek”.

Eugeniusz Pauksta

Wakacyjne lektury

Wakacyjne, to wcale nie znaczy, iż ładajakie, ot, byle się czytało z jakim takim zaciekawieniem. Sądze, że w trakcie urlopu należy również starannie dobierać sobie lekturę. Tyle, że traktatów naukowych raczej się nie zaleca...

Na plan pierwszy wysunę wydaną starannie przez „Czytelnika” książkę pisaną przez człowieka bardzo u nas znanego, jednak nie jako pisarza. Tymczasem Jan Sobieski, o nim bowiem tu mowa, jest pisarzem wcale niepospolitym, a jego „Listy do Marysieńki”, opracowane do druku przez Leszka Kukulskiego, to arcyuroczy i genialny nieomal poemat. Listy Sobieskiego do ukołchanej, wspaniałej proza, wielki pamiętnik miłosny, zarazem niefałszowany, pełny obraz bujnego ówczesnego życia polskiego, wiek XVII w całości jego krasie i w zarodzi niebezpieczeństw, jakie przynosił, a wszystko to opo wiedziane świetnym, soczystym stylem, w którym sarmackość nie gasi wszakże lekkości zgoła francuskiego polotu. Warto czytać, a po cichutku może i wzdychać, czy taka wielka miłość jest dzisiaj możliwa?

A teraz dwie rewelacje podróżnicze naszych obywateli. „Iskry” wydały bardzo starannie, z mnóstwem ilustracji, w tym kolorowe, kolejny tom Arkadego Fiedlera: „Nowa przygoda „Gwinea”. Popularny wśród wszystkich pokoleń autor, tym razem odwiedza Afrykę, nową, wyzwoloną od kolonializmu, organizującą się w prężne organizmy państwowe, a przy tym nie rezygnującą z dawnych obyczajów, tradycji, powiązań z naturą. Fiedler umie patrzeć i

umie opisać to, co widzi. Cóż ja zresztą będę zachęcał, mogę tylko anonsować, i tak niełatwo będzie uzyskać książkę w księgarniach! Wydawnictwo „Śląsk” bardzo efektownie opublikowało nowy tom Kamila Giżyckiego „Hevea płacze kauczukiem”, niby to opowieść o kauczuku, jego losach, jak też wpływie na losy ludzkie. Ale zarazem jest to wspólna podróżnicza gawęda z własnych obserwacji i przeżyć, bo gdzież ten Giżycki nie był, z jakiego pieca chleba nie jadł. Doskonała lektura.

A oto już podróż jak najbar dziej z dni dzisiejszych. W „Iskrach” swe wrażenia z wielkiej włości opublikował Stanisław Jagielski pod atrakcyjnym tytułem „Wakacje na czterech kółkach”.

Pewnie, nielada to gratka, samochodowa podróż przez Europę, niemal jak długa i szeroka. Emocji i wrażeń nie brakuje, tak dla autora jak dla czytelników, przy tym co za pożywka dla marzenia, by samemu też się tak kiedyś przejechać przez cały kontynent.

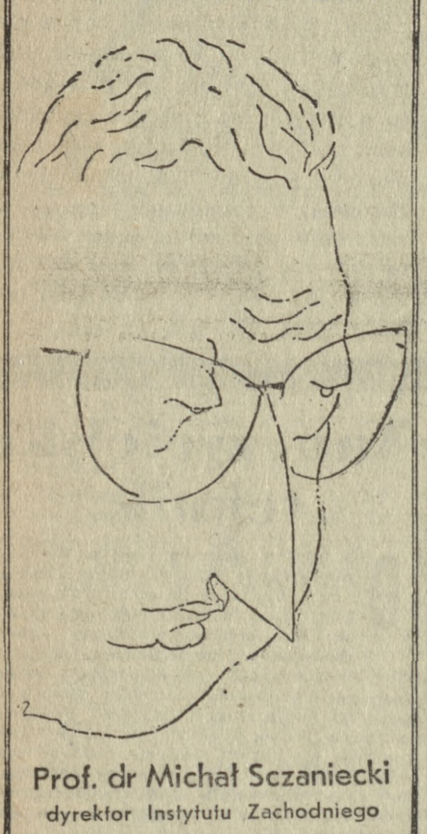
„Nasza Księgarnia” nie zapomina o starszych a zwłaszcza młodszych swych czytelnikach. Oto Konstanty Stecki opublikował tom opowiadań przewodniczkich „Tatry na codzień”, z kulturą i ciekawie osnutą relacją o dziwacznych i urodzie Tatry. W głosnym zaś, znamienne, że nie tylko wśród młodych, „Klubie siedmiu przygód”, ukazała się powieść Siergieja Golicyna „Niepodpisany portret”, pasjonująca, dowcipna, bardzo humanistyczna, przy tym świetnie przybrana ilustracjami Antoniego Uniechowskiego.

Kilka specjalnie ciepłych słów o PIW-owskiej edycji nowego tomu Juliana Ejsmonda „Żywy drzew”. Nie ma chyba już takich gawędziarzy leśnych, takich myślicieli i pisarzy zarazem, jak zmarły przedwcześnie Ejsmond. Radze, czytacie i polecajcie tę książkę, jeśli chcecie ukochać polską przyrodę, bo ukazana ona tutaj przedziwnie pięknie.

Jest w tymże PIW-ie i pozycja trochę bardziej „do śmiechu”. Myślę tutaj o wznowieniu wyboru wspaniałych humoresek Marka Twaina „Nieszczytny narzeczony Aurelii”. Wiercie, czyta się świetnie nawet na plaży, w potokach rozleniwiającego słońca. I ma się potem doskonały humor.

BOGDAN DOHNKE

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Prof. dr Michał Szczaniecki
dyrektor Instytutu Zachodniego

Młody człowiek z maturą

(Dokończenie ze str. 1)

wagę naradzie kuratorów. W kura toriach — dyrektorom. W szkołach — wychowawcom. I nie tak, że jest coraz lepiej. Ale szczerze, krytycznie, bez wodolejstwa, nie deklaratywnie.

Postuluje: zaproszenie przedstawicieli wyższych uczelni, współpracę wyższych uczelni. Niech się nie wydaje, że tu i ówdzie akcja „otwartych drzwi” załatwia wszystko i że to jest wyłącznie to, o co chodzi. Akcja „otwartych drzwi”, szeroko stosowana przez wszystkie uczelnie, a nie tylko deficytowe, winna być projekcją wizualną do problemu szerszego — do problemu wychowania w szkole.

A trzeba zważyć, że szkoła źle wychowując, nie kształtując realistycznego podejścia do życia, czyni również wielką krzywdę młodzieży.

Szkoła daje świadectwo dojrzałości bez pokrycia, nawet niechby tam były od góry do dołu same bardzo dobre i celujące.

JERZY KOCHAŃSKI

Wielka szansa Słupcy

(Dokończenie ze str. 1)

du, bieżącej wody, jadalni, urządzeń sanitarnych, na pewno jest realne. Postawienie kilkunastu domków campingowych w sąsiedztwie ośrodka wodnego też jest realne. Dobra reklama spowoduje opłacalność ośrodka. Przecież uboższy turysta, przekraczający naszą zachodnią granicę nie znajdzie takiego obiektu na całej trasie do samego Brześcia. Z konieczności więc rozbija namiot na łące lub w rowie. Tak uciekają dewizy. Brak najprymitywniejszych nawet urządzeń nie może oczywiście budząco wpływać na rozwój turystyki zagranicznej do Polski.

Pieniądze nie przyjdą same

Dewizy przepływają więc przez Słupcę. A nasze złotówki nie? Ilu krajowych turystów musi pokonywać dziennie mordercze odcin-

ciekawość: co odpowie Faulkner. A oto jego słowa. — Mr. Faulkner nie jest aż tak wielkim pisarzem, by ludzie odbywali tak dalekie i uciążliwe podróże po to, by się z nim zobaczyć. Faulkner prywatnie nie ma nic do powiedzenia. Wszystko, co usiłował powiedzieć, znajduje się w jego książkach.”

Czytelnikowi „Głosu” należy się wyjaśnienie, że Faulkner niechętny był obcom i nieprzystępny we własnym domu dla nikogo. Osiągany stawał się tylko dla wybranych na wieczorach autorskich, które odbywały się w uniwersytecie. Reportaż daje także pewne wyobrażenie o osobowości Faulknera, jego stosunku do literatury i do własnych dzieł.

Druga do Księżyca

Tygodnik Demokratyczny publikuje interesujący artykuł Krzysztofa Borunia pt. „Astronautyka radziecka na drodze do Księżyca”, omawiając ostatnie osiągnięcia astronautów radzieckich, które było zapowiedzią kosmicznego rendez-vous, przedsięwzięcia bardzo trudnego, ale możliwego do zrealizowania.

„Otwiera to możliwość pełnego przeprowadzenia tej operacji, która jest koniecznym stopniem na drodze, prowadzącej zarówno do budowy dużych stacji kosmicznych, montowanych w przestrzeni przy użyciu mniejszych rakiet transportujących poszczególne elementy ich konstrukcji, jak i do dalszych ekspedycji międzyplanetarnych (...). Być może (...) lot wokół Księżyca będzie realizowany w ten sposób, że na orbicie okołoziemskiej wprowadzi się dwa statki: jeden z załogą, przeznaczony do właściwego lotu księżycowego, a drugi, transportujący tylko paliwo, które zostanie przetankowane na orbicie, po czym statek księżycowy wyruszy sam w dalszą drogę.”

Trudno nam odpowiedzieć, kiedy to nastąpi. Jedno jest pewne: po locie Wosłoka 3 i Wosłoka 4 termin ten jest znacznie bliższy niż jeszcze miesiąc temu ktokolwiek się spodziewał.

Jacek się uczy

Na łamach Życia Gospodarczego zwraca uwagę artykuł Krystyny Zielińskiej pt. „Wychowujący i wychowywani. Zielińska porusza kapitalne problemy zadań czekających wychowawców, a więc i nauczycieli, i rodziców. Jej zdaniem ani rodzina, ani szkoła nie spełniają bezbłędnie roli wychowawców. Przyczyną tego jest brak więzi między szkołą a domem, brak wspólnego języka między wychowawcami a wychowywanymi.

„Mimo wszystkich (...) zmian i (...) reform — szkoła pozostaje w tyle za wymaganiami epoki: jest tradycyjna, przedwczorajsza... I wydaje się, że zmiany powinny iść w kierunku zrozumienia, że w coraz większym stopniu wychowywać powinna właśnie szkoła, że fachowość w dziedzinie wykładanego przedmiotu musi towarzyszyć fachowości pedagogicznej, że rodzice mogą i powinni być naturalnym sojusznikiem szkoły, nie poprzez dzienniki i besztania na wywiadówkach, ale poprzez zbliżenie matek i ojców do szkoły — do jej zadań, do realizacji jednolitej, wytyczonej przez szkołę linii pedagogicznej.”

Nic dodać, niczego ująć. Jakże to jednak trudno będzie wprowadzić w życie!

Co poza tym...

...warto przeczytać? Ty urzędniku — Zbigniewa Kwiatkowskiego w Życiu Literackim; „Kordian i cham” po 30 latach — Andrzeja Kijowskiego w Przeglądzie Kulturalnym; Dziennik minierki z Powstania Warszawskiego — Zofii Koprowskiej („Czesi”) w Tygodniku Powszechnym; Między życiem a zesadami (U. J.) w Polityce — jest to bardzo ostra polemika z projektem nowego Kodeksu Rodzinnego; Sprawy o których trzeba pamiętać — Kazimierza Wojciechowskiego w Głosie Nauczycielskim; Odwaga i rozsądek — Mariana Podkowińskiego, korespondencja z Bonn w Tygodniku Demokratycznym.

LEKTOR



Los ekspedientek

Na handel patrzymy zazwyczaj oczami klientów. Widzimy nowe sklepy, nowe formy sprzedaży, psiościmy na remanenty, przyjmowanie towaru, remonty itp. Rzadko jednak wczuwamy się w położenie ekspedientki. Czyni to w ostatniej Polityce Andrzej Mozołowski w artykule pt. Ewa musi stać. I to stać nierzadko przez 12 godzin na dobie...

„Gdyby w obecnych warunkach, przy obecnej liczbie zatrudnienia, zachowując obecne godziny handlu, zacząć rygorystycznie stosować przepisy prawa pracy (8-godzinny dzień pracy i 46-godzinny tydzień — dop. Lek), trzeba byłoby zamknąć wiele tysięcy sklepów. Również i tam, gdzie taki sklep jest jedynym punktem sprzedaży detalicznej danej branży w okolicy.”

Życie ekspedientek nie jest łatwe. Pracują często w złych warunkach: w sklepach bez wentylacji, bez właściwego ogrzewania, bez urządzeń higienicznych — narażone na przeziębienia i niemal wszystkie cierpiące po pewnym czasie na zylaki. Do tego dochodzi jeszcze piętnowanie zawodu na podstawie wypadków nieuczciwości. Klienci wyrządzają sobie tym niedźwiedzia przysługę, hamują napływ do handlu najwarłociwszego elementu.

Polak model 1962

Krzysztof Teodor Toeplitz kontynuuje w Przeglądzie Kulturalnym cykl o „modelowym Pola-

ku”. Trzeci z kolei artykuł pt. Potrzeba protestu poświęcił autor omówieniu sprawy znalezienia właściwego stosunku między tym, co w najogólniejszym skrócie nazywamy kulturą masową, a kulturą intelektualną.

„O różnicy tych pojęć decyduje przede wszystkim fakt, że o ile terenem działania kultury masowej jest głównie sfera obyczajów, o tyle terenem kultury intelektualnej jest sfera myśli i moralności. Nie znaczy to, oczywiście, aby produkty kultury masowej były pod względem moralnym i intelektualnym neutralne. Przeciwnie — niosą one zawsze ładunek ideowy, jednakże zadaniem sztuki, wybijanych przez tę kulturę, jest przede wszystkim niesienie pomocy w normalizacji obyczajów, podsuwanie standardowych wzorów zachowania się, wreszcie zapełnianie i organizowanie wolnego czasu i rozrywki standardowego społeczeństwa.”

Autor omawia dalej wzajemny wpływ obu kultur na siebie, wskazuje jakie niebezpieczeństwa dla ich rozwoju tkwią w tak zwanym okresie stabilizacji, kiedy to społeczeństwo staje się w większym stopniu społeczeństwem wygodnickim.

Who is Faulkner?

To tytuł reportażu Franciszka Lyry w Nowej Kulturze. Autor opisuje w nim ostatni wieczór autorski zmarłego niedawno wielkiego pisarza amerykańskiego Williama Faulknera. Tytuł pochodzi stąd, że kiedy F. Lyra zapytał jednego ze studentów amerykańskiej uczelni, w której odbywał się ów wieczór, w jakiej sali odbędzie się spotkanie z Faulknerem, indagowany student odpowiedział pytaniem: „kto to jest Faulkner?”

„Jakże było moje zdziwienie” — pisze F. Lyra — gdy (...) z balkonu rozległ się donośny głos mojego przyjaciela: — Mr Faulkner, mam przylatca Polaka, obywatela kraju, w którym pańskie dzieła są popularne i intensywnie tłumaczone. Wiem, że na próżno starał się o spotkanie z panem (...). Dlatego nie może mu pan poświęcić kilku minut? Moje zaskoczenie, a zarazem zmieszanie przeżytych